

## **Pożegnanie z Marią**

Za stołem, za telefonem, za sześcianem biurowych ksiąg – okno i drzwi. We drzwiach dwie tafle szklane, czarne, lśniące od nocy. I jeszcze niebo, tło okna okryte opuchłymi chmurami, które wiatr spycha w dół szyby, ku północy, poza mury spalonego domu.

Spalony dom czernieje po drugiej stronie ulicy, na wprost furki w ochronnej siatce zakończonej srebrzystym drutem kolczastym, po którym jak dźwięk po strunie ślizga się fioletowy odbłask migocącej latarni ulicznej. Na tle burzliwego nieba, na prawo od domu, omotane mlecznymi kłęбами przelotnego dymu lokomotyw, patetycznie rysuje się bezlistne drzewo, nieruchome w wicherze. Naładowane towarowe wagony mijają je i z łoskotem ciągną na front.

Maria podniosła głowę znad książki. Smuga cienia leżała na jej czole i oczach i spływała wzdłuż policzka jak przejrzysty szal. Położyła ręce na grzybku stojącym wśród pustych butelek, talerzy z nie dojedzoną sałatą, bruchatych, karmazynowych kieliszków o granatowych podstawkach. Ostre światło, które załamywało się w granicy przedmiotów, wsiąkało jak w dywan w niebieski dym zalegający pokój, odpryskiwało od kruchych, łamliwych krawędzi szkieł i migotało we wnętrzu kieliszków jak złoty liść na wietrze – nabiegło struną w jej dłonie, a one rozświetloną, różową kopułą zamknęły się szczelnie nad nim i tylko bardziej różowe linie między palcami pulsowały prawie niedostrzegalnie. Przyćmiony pokoik napełnił się poufnym mrokiem, zbiegł się ku dłoniom i zmalął jak muszla.

– Patrz, nie ma granicy między światłem i cieniem – szepnęła Maria. – Cień jak przyptyw podpełza do nóg, otacza nas i zacieśnia świat tylko do nas: jesteśmy ty i ja.

Pochyliłem się ku jej wargom, ku drobnym spękaniom ukrytym w ich kącikach.

– Pulsujesz poezją jak drzewo sokiem – powiedziałem żartobliwie, otrząsając głowę z natrętnego, pijackiego szumu. – Uważaj, żeby świat ciebie nie zranił toporem. [24-25]

Na stole, na obrusie w czerwone kwiaty, wyszachrowanym od złodziejki kolejowej, między kieliszkami, książkami i nadgryzionymi kanapkami, leżały gołe i brudne nogi Apoloniusza. Apoloniusz huśtał się na krzeselku i odwracając się do drewnianego, pomalowanego wapnem przed pluskwami tapczana, na którym, jak duszące się ryby na piasku, leżeli półpijani ludzie, donośnym głosem mówił:

– Czy Chrystus byłby dobrym żołnierzem? Nie, raczej dezertorem. Przynajmniej pierwsi chrześcijanie uciekali z armii. Nie chcieli się sprzeciwiać złu. [27]

Paskarski sklepik był małą, zaciszną zatoką. Nad szklanką bimbrowy z buraków bratali się przy ladzie policjanci z chłopami i handlowali ludźmi ze szkoły. Nocą policjanci wysadzali przez okno szkoły towar, który albo natychmiast zniknął w zakamarkach ulicy, albo, kalecząc się nieludzko, przełaził przez druty kolczaste na plac naszej firmy budowlanej, gdzie wałęsał się aż do rana, gdyż kantor był oczywiście zamknięty. Zwykle były to dziewczęta. Łaziły bezradnie po podwórzu, oglądając kupy piasku, zwały gliny, sześciany cegieł, trocinówek, szpaltówek, ramsayek, zachodziły do sąsiadów z grysikiem, którego różne odcienie i wielkości używane były na schody oraz nagrobki, i załatwiały się tam beztrosko. Obudziwszy się, wyrzucałem je bardzo altruistycznie za bramę, a korzyści z proceduru oprócz policjantów (i pewnie nieprzystępnego, obcego płaskim, ludzkim sprawom żandarma) ciągnął wyłącznie sąsiad, sklepikarz. [...]

Firma budowlana! Ona jak dojna i cierpliwa krowa rozdawała wszystkim utrzymanie. Pracowity jej właściciel, brzuchacz opięty kraciastą kamizelką z brelokiem, patriarchalnie siwy, apoplektycznie nerwowy Inżynier z brodą w klin, na utrzymanie żony dewotki trwoniącej pieniądze na żebraków, kościoły i zakonników oraz syna erotomana ciągnął z niej w czasach wielkiego głodu (kiedy jedliśmy obierki i przydziałowy chleb z solą) grube tyśiące jak mleko z wymion, rozbudował składy w centrali, wydzierżawił plac po spalonej we wrześnie firmie i założył na nim filię swojego przedsiębiorstwa, kupił dworski pojazd, cugowego konia ze strzyżonym ogonem, wynajął woźnicę, nabył za pół miliona majątek ziemski pod stolicą, wprowadził nieco zaniedbany i podupadły, ale nadający się do polowań (...) [36-38]

## **U nas w Auschwitzu...**

Rozkoszne dni: bez apelów, bez obowiązków. Cały obóz stoi na apelu, a my w oknie, wpółwychyleni widzenie z innego świata. Uśmiechają się do nas ludzie, my uśmiechamy się do ludzi, mówią do nas: "Koledzy z Birkenau", trochę ze współczuciem, że nasz los taki marny, a trochę ze wstydem, że ich taki dobry. Pejzaż z okna niewinny, kremowo nie widać. Ludzie są w Oświęcimiu zakochani, z dumą mówią: "U nas, w Auschwitzu..."

Ostatecznie mają się czym chwalić. Wyobraź sobie, czym jest Oświęcim. Weź Pawiak, tę okropną budę, dodaj Serbię, pomnóż przez dwadzieścia osiem i ustaw wszystko tak blisko koło siebie, aby między Pawiakami było tyl-

ko trochę miejsca, wszystko otocz podwójnym drutem naokoło, a z trzech stron betonowym murem, błoto wybrukuj, wyhoduj anemiczne drzewka – a między tym wszystkim posadź kilkanaście tysięcy ludzi, którzy byli po kilka lat w obozie, cierpieli fantastycznie, przetrwali najgorszy czas, a teraz mają uprasowane na zabójczy kant spodnie i chodzą, kołyszając się w biodrach – zrób to wszystko, a zrozumiesz, dlaczego mają oni w wielkiej pogardzie i politowaniu nas, ludzi z Birkenau, gdzie są tylko drewniane końskie baraki, nie ma chodników, a zamiast łaźni z gorącą wodą – cztery krematoria. [70]

Chodzimy po Birkenwegu, wygoleni, świeży i beztroscy. Tłumek łaży grupkami, wystaje przed blokiem dzieciątym, gdzie za kratami i zabitymi na glucho oknami siedzą dziewczęta – króliki doświadczalne, ale najczęściej gromadzi się przed blokiem szrajbsztuby, nie dlatego że tam jest sala orkiestry, biblioteka i muzeum, lecz po prostu, że na piętrze – puff. Co to jest puff, napiszę Ci innym razem, tymczasem bądź ciekawa...

I Wiesz, jak dziwnie pisać do Ciebie, której twarzy nie widziałem od tak dawna. Obraz Twój rozpierzcha mi się w pamięci i nawet dużym wysiłkiem woli nie daje się przywołać. Jest coś niesamowitego w śnie, że śnisz mi się tak wyraźnie i plastycznie. Wiesz, sen nie jest jak obraz, ale jak przeżycie, w którym jest przestrzeń i czuje się ciężar przedmiotów i ciepło Twojego ciała... [72]

I popatrz, czym jest przyzwyczajenie: chodziłem po celi i w rytm kroków układałem wiersze. Jeden z nich wpisałem towarzyszowi z celi więziennej do Biblii, ale z innych – były to pieśni horacjańskie – pamiętam tylko strofki, jak ta z wiersza do przyjaciół z wolności:

Przyjaciele z wolności! Pieśnią więzienną was żegnam  
po to, byście wiedzieli, że nie odchodzę z rozpaczą.  
Bo wiem, że po mnie zostanie i miłość, i moja poezja,  
i póki życia waszego, wspomnienie u przyjaciół.

Dziś – niedziela. Przed południem było się na spacerze, oglądało się z wierzchu doświadczalny blok kobiet (wystawiają głowy przez kraty zupełnie jak króliki mego ojca, pamiętasz, szare, z jednym oklapniętym uchem), potem oglądało się uważnie blok SK (tam na podwórzu jest owa czarna ściana, przed którą dawniej rozstrzelivano, obecnie robią to ciszej i dyskretniej – w krematorium). [80]

Dziś za pan brat z nieprawdopodobnym i mistycznym, mając na co dzień krematorium, tysiącami flegmony i gruźlicę, poznawszy, co to jest deszcz i wiatr, i słońce, i chleb, i zupa z brukwi, i praca, aby nie podpaść, i niewolnictwo, i władza, będąc, że tak powiem, pod rękę z bestią – patrzę na nich z odrobiną pobłażania, jak uczony na laika, wtajemniczony na profana.

Wysupłaj ze zdarzeń codziennych całą ich codzienność, odrzuć przerażenie i wstręt, i pogardę i znajdź na to wszystko formułę filozoficzną. Na gaz i na złoto, na apele i na puff, na cywila i na stary numer. [81]

A tu patrz: najpierw jedna wiejska stodoła pomalowana na białą i – duszą w niej ludzi. Potem cztery większe budynki – dwadzieścia tysięcy jak nic. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy. Paru ludzi kierujących ruchem, żeby tłoku nie było, i ludzie płyną jak woda z kranu za odkręceniem kurka. Dzieje się to wśród anemicznych drzew zadymionego lasku. Zwykłe ciężarowe samochody podwożą ludzi, wracają jak na taśmie i znów podwożą. Bez czarów, bez trucizn, bez hipnozy.

Jakże to jest, że nikt nie krzyknie, nie plunie w twarz, nie rzuci się na pierś? Zdejmujemy czapkę przed esmanami wracającymi spod lasu, jak wyczytają, idziemy z nimi na śmierć i – nic? Głodujemy, mokniemy na deszczu, zabierają nam najbliższych. Widzisz: to mistyka. Oto jest dziwne opętanie człowieka przez człowieka. Oto jest dzika bierność, której nic nie przełamie. A jedyna broń – to nasza liczba, której komory nie pomieszczą. [...]

Po południu wybrałem się na mecz bokserski do wielkiego baraku waschraumu, tam, skąd wprawdzie odchodziły transporty do gazu. Wpuszczono nas do środka z ceremoniami, choć sala była nabita po brzegi. W dużej poczekalni urządzono ring. Światło z góry, sędzia (nb. polski sędzia olimpijski), bokserzy o sławie międzynarodowej, ale tylko Aryjczycy, bo Żydom występować nie wolno. I ci sami ludzie, którzy dzień w dzień wybijali dziesiątki zębów, ludzie, z których niejeden sam ma pustą szczękę – pasjonowali się Czortkiem, Walterem z Hamburga i jakimś młodym chłopcem, który, trenowany w obozie, wyrósł, jak powiadają, na dużą klasę. Jeszcze tkwi tu pamięć o numerze 77, który niegdyś boksował Niemców, jak chciał, biorąc na ringu odwet za to, co inni dostali na polu. Sala była zadymiona od papierosów, a bokserzy tłukli się, ile wlicze. Ale robili to niefachowo, choć z dużym uporem.

– Taki Walter – mówił Staszek – popatrzcie tylko! Na komandzie, jak chce, to jednym uderzeniem kładzie mużłmana! A tu, patrz, trzy rundy, i nie! Jeszcze jemu mordę nabili. Widocznie za dużo widzów, nie?

Swoją drogą widzowie byli rozanieleni, a my w pierwszym rzędzie, wiadomo, goście. [82-83]

Ja opowiem bardzo krótko. Jak byłem w Mauthausen, złapano tam dwóch uciekinierów, akurat w Wigilię. Postawiono szubienicę na placu, koło wielkiej choinki. Cały obóz był zebrany na apelu, gdy ich wieszano. Na choince akurat zapalono światła. Wtedy wystąpił lagerführer, zwrócił się do więźniów i zakomenderował:

– Häftlinge, Mützen ab!

Zdjęliśmy czapki. Lagerführer rzekł na tradycyjną przemowę wigilijną:

– Kto się zachowuje jak świnia, będzie jak świnia traktowany. Häftlinge, Mützen auf!

Założyliśmy czapki.

– Rozejść się!

Rozeszliśmy się.

Zapaliliśmy papierosy. Milczeliśmy. Każdy myślał o swoich rzeczach. [96]

Pracujemy pod ziemią i na ziemi, pod dachem i na deszczu, przy łopacie, lorze, kilofie i łomie. Nosimy wory z cementem, układamy cegły, tory kolejowe, grodzimy grunta, depczemy ziemię... Zakładamy podwaliny jakiejś nowej, potwornej cywilizacji. Teraz dopiero poznałem cenę starożytności. Jaką potworną zbrodnią są i piramidy egipskie, świątynie i greckie posągi! Ile krwi musiało spłynąć na rzymskie drogi, wały graniczne i budowle miasta! Ta starożytność, która była olbrzymim koncentracyjnym obozem, gdzie niewolnikowi wypalano znak własności na czole i krzyżowano za ucieczkę. Ta starożytność, która była wielką znową ludzi wolnych przeciw niewolnikom!

Pamiętasz, jak lubiłem Platona. Dziś wiem, że kłamał. Bo w rzeczach ziemskich nie odbija się ideał, ale leży ciężka, krwawa praca człowieka. To myśmy budowali piramidy, rwali marmur na świątynie i kamienie na drogi imperialne, to myśmy wiosłowali na galerach i ciągnęli sochy, a oni pisali dialogi i dramaty, usprawiedliwiali ojczyznami swoje intrygi, walczyli o granice i demokracje. Myśmy byli brudni i umierali naprawdę. Oni byli estetyczni i dyskutowali na niby.

Nie ma piękna, jeśli w nim leży krzywda człowieka. Nie ma prawdy, która tę krzywdę pomija. Nie ma dobra, które na nią pozwala.

Cóż wie starożytność o nas? Zna przebiegłego niewolnika z Terencjusza i Plauta, zna trybunów ludowych Grakchów i imię jednego tylko niewolnika – Spartakusa. [97]

### ***Proszę państwa do gazu***

Zajeżdżały z warkotem motocykle wiozące obsypanych srebrem odznak podoficerów SS, tęgich, spasionych mężczyzn o wypolerowanych oficerskich butach i błyszczących, chamskich twarzach. Niektórzy przyjechali z teczkami, inni mieli giętkie trzciniowe kije. Nadawało im to służbowy i sprężysty wygląd. Wchodzili do kantyny, bo ów mizerny barak był ich kantyną, gdzie latem pili wodę mineralną – "Sudetenquelle", a zimą ogrzewali się gorącym winem, witali się państwowo wyciągniętym po rzymsku ramieniem, a potem kordialnie potrząsali prawicę, uśmiechali się serdecznie do siebie, rozmawiali o listach, o wiadomościach z domu, o dzieciach, pokazywali sobie fotografie. Niektórzy dostojnie przechadzali się po placu, żwir chrzęścił, buty chrzęściły, srebrne kwadraty błyszcząły na kołnierzach, a bambusowe laseczki świstały niecierpliwie. [156]

Rośnie kupa rzeczy, walizek, tłumoków, plecaków, pledów, ubrań, torebek, które, padając, otwierają się i wysypują barwne tęczowe banknoty, złoto, zegarki; przed drzwiami wagonów piętrzą się stosy chleba, gromadzą słiki różnobarwnych marmolad, powideł, pęczniej zwały szynki, kiełbasy, rozsypuje się po żwirze cukier. Zapchane ludźmi auta odjeżdżają z piekielnym warkotem, wśród zawodzenia i wrzasku kobiet oplakujących dzieci, i oglupiałego milczenia nagle osamotnionych mężczyzn. To ci, co poszli na prawo – młodzi i zdrowi – ci pójdą na lager. Gaz ich nie minie, ale wprawdzie będą pracować.

Auta odjeżdżają i wracają, bez odpoczynku, jak na potwornej taśmie. Bez przerwy jeździ karetka Czerwonego Krzyża. Olbrzymi krwawy krzyż wymalowany na masce motoru roztapia się w słońcu. Niemordowanie jeździ karetka Czerwonego Krzyża: to właśnie w niej wozi się gaz, gaz, którym trują tych ludzi.

Ci z Kanady, którzy są przy schodkach, nie mają chwili wytchnienia, oddzielają tych do gazu od tych, co idą na lager, wypychają pierwszych na schody, ubijają na aucie, na każde sześćdziesiąt, tak plus-minus.

Z boku stoi młody, gładko wygolony pan, esman z notatnikiem w rękę; każde auto to kreska, jak odjedzie szesnaście aut, to jest tysiąc, tak plus-minus. Pan jest zrównoważony i dokładny. Nie odjedzie auto bez jego wiedzy i jego kreski: Ordnung muss sein. Kreski pęczniają w tysiące, tysiące w całe transporty, o których mówi się krótko: "Z Salonik", "ze Strasburga", "z Rotterdamu". O tym będzie się już dziś mówiło "Będzin". Ale na stałe uzyska nazwę "Będzin – Sosnowiec". Ci, którzy pójdą z tego transportu na lager, dostaną numery: 131 – 132. Rozumie się tysiące, lecz w skrócie będzie się mówiło właśnie tak: "131 – 132".

Transporty rosną w tygodnie, miesiące, lata. Gdy skończy się wojna, będą liczyć spalonych. Naliczą cztery i pół miliona. Najkrwawsza bitwa wojny, największe zwycięstwo solidarnych i zjednoczonych Niemiec. Ein Reich,

ein Volk, ein Führer<sup>1</sup> – i cztery krematoria. Ale krematoriów będzie w Oświęcimiu szesnaście, zdolnych spalić pięćdziesiąt tysięcy dziennie. Obóz rozbuduje się, aż się oprze naelektryzowanym drutem o Wisłę, zamieszka go trzysta tysięcy ludzi w pasiakach, będzie się zwał Verbrecher-Stadt – "Miasto Przestępców". Nie, ludzi nie zabraknie. Spalą się Żydzi, spalą się Polacy, spalą się Rosjanie, przyjdą ludzie z Zachodu i Południa, z kontynentu i wysp. [158-160]

Upał, ogromny upał. Powietrze stoi nieruchomym, rozżażonym słupem. Gardła są suche, każde wymówione słowo wywołuje ból. Och, pić. Gorączkowo, byle prędzej, byle do cienia, byle odpocząć. (...) Powoli, niezmiernie powoli wtaczają się wagony, przeraźliwie odgwiszduje lokomotywa, z okien patrzają twarze wymięte i blade, płaskie, jakby wycięte z papieru, o ogromnych, płonących gorączką oczach. Już są auta, już jest spokojny pan z notatnikiem, już z kantyny wyszli esmani z teczkami na złoto i pieniądze. Otwieramy wagony.

Nie, już nie można nad sobą panować. Wyrывa się ludziom brutalnie walizki z rąk, szarpiąc ściąga się palta. Idźcie, idźcie, przemińcie. Idą, przemijają. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Niektórzy z nich wiedzą.

Oto idzie szybko kobieta, śpieszy się nieznacznie, ale gorączkowo. Małe, kilkuletnie dziecko o zarumienionej, pyzatej twarzy cherubin-ka biegnie za nią, nie może nadążyć, wyciąga rączki z płaczem: – Mamo, mamo!

– Kobieto, weźże to dziecko na ręce!

– Panie, panie, to nie moje dziecko, to nie moje! – krzyczy histerycznie kobieta i ucieka, zakrywając rękoma twarz. Chce skryć się, chce zdążyć między tamte, które nie pojedą autem, które pójda pieszo, które będą żyć. Jest młoda, zdrowa, ładna, chce żyć.

Ale dziecko biegnie za nią, skarżąc się na cały głos:

– Mamo, mamo, nie uciekaj!

– To nie moje, nie moje, nie!...

Aż dopadł ją Andrej, marynarz z Sewastopola. Oczy miał mętne od wódki i upału. Dopadł ją, zbił z nóg jednym zamaszystym uderzeniem ramienia, padającą chwycił za włosy i dźwignął z powrotem do góry. Twarz miał wykrzywioną wściekłością:

– Ach, ty, jebit twoju mat', blad' jewrejskaja! To ty od swego dziecka uciekasz! Ja tobi dam, ty kurwo! – Chwycił ją wpół, zadławił łapą gardło, które chciało krzyczeć, i wrzucił ją z rozmachem jak ciężki wór zboża na auto.

– Masz! Weź i to sobie! Suko! – i cisnął jej dziecko pod nogi.

– Gut gemacht, tak należy karać wyrodne matki – rzekł esman stojący przy samochodzie. – Gut, gut Ruski.

– Mołczy! – warknął przez zęby Andrej i odszedł do wagonów. Spod kupy szmat wyciągnął ukrytą manierkę, odkręcił, przytknął do ust sobie, potem mnie. Parzy gardło spirytus. Głowa szumi, nogi uginają się, zbiera się na torsje. [163-165]

– Henri, na co my czekamy?

– Będzie jeszcze jeden transport. Ale nie wiadomo.

– Jeżeli przyjdzie, to ja nie pójdę go rozładowywać. Nie dam rady.

– Wzięło cię, co? Dobra Kanada?! – Henri uśmiecha się dobrotliwie i znika w ciemności. Po chwili wraca.

– Dobrze. Tylko uważaj, żeby cię esman nie złapał. Będziesz tu cały czas siedział. A buty ci skombinuję.

– Daj mi spokój z butami.

Chce mi się spać. Jest głęboka noc.

Znów antreten, znów transport. Z ciemności wynurzają się wagony, przechodzą przez pas światła i znów znikają w mroku. Rampa jest mała, ale krąg światła jest jeszcze mniejszy. Będziemy wyładowywać kolejno. Gdzieś warczą auta, podjeżdżają pod schodki upiornie czarne, reflektorami oświetlają drzewa. Wasser! Luft! Znów to samo, spóźniony seans tego samego filmu: strzelają serią automatu, wagony uspokajają się. Tylko jakaś dziewczynka wychyliła się do pół ciała z okienka wagonu i straciwszy równowagę upadła na żwir. Chwilę leżała ogłuszona, wreszcie podniosła się i zaczyna chodzić w kółko, coraz prędzej i prędzej, sztywno wymachując rękoma jak na gimnastyce, łapiąc głośno powietrze i wyjąc monotennie, piskliwie. Dusząc się – dostała obłędu. Działa na nerwy, więc podbiegł do niej esman, okutym butem kopnął w plecy: upadła. Przydeptał ją nogą, wyjął rewolwer, strzelił raz i drugi: została, kopiając nogami ziemię, aż znieruchomiała. Poczęto otwierać wagony.

Byłem znów przy wagonach. Buchnął ciepły, słodki zapach. Góra ludzka zapełniała wagon do połowy, nieruchoma, potwornie poplątana, ale jeszcze parująca. [...]

Naraz obóz wydał mi się zatoką spokoju. Wciąż umierają inni, samemu się jeszcze jakoś żyje, ma się co jeść, ma się siły do parcy, ma się ojczyznę, dom, dziewczynę... [...]

Duż, dużo aut pojechało do krematorium. [...]

Parę dni będzie obóz mówił o transporcie "Sosnowiec – Będzin". Był to dobry, bogaty transport. [168-170]

<sup>1</sup> *Ein Reich, ein Volk, ein Führer* – Jedno państwo, jeden naród, jeden wódz.